



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

**PRENUMERATA WYNOŚI:**

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Świstak tatrzański.

### ŚWISTAK TATRZAŃSKI.

Góry mają właściwe sobie rośliny i zwierzęta. Do najobliwszych stworzeń należą świstaki, na rysunku naszym przedstawione, nazwa ich naukowa jest *Arctomys marmota*.

Zwierzątko to, niewiększe od zająca, lecz grubsze, głowę ma szeroką, spłaszczoną z przodu, nogi krótkie, sierść rudawo brunatną. Świstak należy do rzędu gryzących, czyli skrobogryzów, spokrewniony więc jest z królikiem, zającem, wieńcówką, a najbliższą z różnemi gatunkami susłów, które liczne-

mi gromadami żyją w norach podziemnych w Ameryce północnej.

Świstak górski przebywa na wyżynach Alp, Pireneyów, a i w Tatrach, jakkolwiek dość rzadko, spotyka się także. Sadowi się zwykle w najdzikszych, najsamotniejszych okolicach, tchórzliwy jest niezmiernie i nigdzie w sąsiedztwie mieszkań ludzkich się nie trzyma. Dziwne jest życie tego stworzenia; większą część roku, całą długą zimę, przesypia w głębokiej swój norze, nie jedząc nic zgoła. Ale ma tyle przeorności, że się dobrze najada przed udaniem się na ten spoczynek, zazwyczaj też świstak jest wówczas bardzo tłuściutki i ten to tłuszcz żywi go przez długie miesiące zimowe, wydzielając się po trochę i przechodząc do krwi.

Gdy lato nastanie i słońce dobrze już przygrzewa, gdy lody i śniegi topnieją na górach, świstaki wysuwają się ze swoich kryjówek, wyczierają na świat Boży, wygrzewają się na słońcu, ogryzają trawkę z wielkim smakiem, bo muszą być porządnie zgłodniałe po takim długim poście. Potem stają sobie na tylnych łapkach i bacznie się dokoła rozglądają. Wzrok mają bystry i słuch doskonały, jak tylko który ze starszych posłysz szelest jaki podejrzany, natychmiast gwizdząc przeciągle, dając znać o niebezpieczeństwie i cała gromadka z błyskawiczną szybkością umyka do nor podziemnych.

Świstaki mają osobne mieszkania letnie, nie tak głęboko wykopane, tam przebywają parę najcieplejszych miesięcy, wychodząc w dzień na paszę; różne korzonki i łodygi roślin górskich są ich pożywieniem, wodę rzadko piją, ale zawsze bardzo dużo na raz, więc na długo tym sposobem gaszą pragnienie. Na zimę zwykle świstaki spuszczaają się ze szczytów gór na miejsca niższe, wygrzebują tam sobie bardzo głębokie nory, nagromadzają w nich dużo trawy i innych roślinnych szczątków, potem otwór podziemny swój kryjówki zatykają szczelnie ziemią, kamykami i trawą zeschniętą, same zaś na miękkich łóżeczkach, z owych zeschniętych roślin usłanych, zasypiają snem twardym na całą zimę.

Górale wszędzie zawzięcie na świstaki polowali, i dziś zwierzęta te są tak wytępione, że do osobliwości należą. Zaopekowali się też niemi przyjaciele zwierząt obecnie polowanie na świstaki surowo jest zabronione, i w górach alpejskich i w Tatrach. Mięso świstaków nie jest bardzo smaczne, nie tyle też dla mięsa je zabijano, co dla skórek i tłuszczu, który ma być skutecznym lekarstwem na różne cierpienia. Starano się zwykle chwycić je wcześniej jesienią, gdy jeszcze nie miały czasu schudnąć. Zastawiano różne pułapki u wejścia do nory, bo inaczej trudno było czujne i przezorne zwierzątko złowić, czasem też, wynalazłszy zimową norę świstaków, zabierano je z niej uspione. Wówczas śpią tak twardo, jakby w letargu i można je zabrać, wynieść, wstrząsać, jak martwy przedmiot, a nie przebudzą się wcale. Dopiero w mocno ogrzanej izbie, przy piecu na przykład, świstak powoli zaczyna się przeciągać, mruzczyć, otwiera oczy i ochłonawszy ze strachu, jeść zaczyna. W Sabaudyi hodowano i przyswajano młode świstaki dla zarobku, wycziano je sztuk rozmaitych, skoków ucieśnych i ubogie dzieci obnosiły je po świecie, pokazując za pieniądze.

### DZIERLATKA.

Z dala od ludzi, w zielonym gaju,  
Gdzie kwitły grona konwalii białe,  
Gdzie w przezroczystym, bystrym ruczaju,

Płasają żwawo płoteczki małe,  
W gestych zaroślach swojskiej kaliny,  
Jak pszczołka rączka, zwinna, wytrwała,  
Ze słomki, puchów, mchu i wikliny,  
Dzierlatka sobie gniazdko usłała.

Po dniach tęsknoty, oczekiwania,  
Czworo pisklątek z gniazdko wyrzało.  
Matce radośnie serce zadrgało,  
Gaj cały rozbrzmiał od szczebiotania.  
Ledwo jutrzienka błysnie różana,  
Ptaszyna pieśnią pozdrawia Pana,  
Opiece Jego poleca dzieci,  
Szukać żywności dla piskląt leci.

Dzierlatka zawsze przeczuwa wroga:  
Gdy drapieżnika poznaje zdradę,  
Lub kiedy burza zahuczy sroga,  
Pod skrzydłem tuli małą gromadę.  
Wiecznie troskliwa myśli matczyną!  
Skoro porosły w piórka ptaszęta,  
Ona je lotu uczyć poczyna,  
Uczy zręczności małe ptaszęta.  
Największe ptaszę, dumne urodą,  
Ufne zanadto w swą siłę młodą,  
Z pieśnią wesela, chylim swym lotem,  
W błękit się wznosi, na topol siada,  
Wtém słabnie ptaszę... z głowy zawrotem  
Zimne i martwe na ziemię spada.

Dwa drugie ptaszki mniej niecierpliwe,  
Bardziej posłuszne, lub mniej chełpliwe,  
Co matka radzi, to chętnie robią,  
Wolniej do lotu siły sposobią.  
One pojmują, że czasu trzeba,  
By się od ziemi podnieść do nieba.

Dla czegoż czwarta z gniazdko ptaszyna  
Z innemi lotu nie rozpoczyna?  
Czemuż jój fruwać nie uczy matka?  
Wszak i to także szara dzierlatka...  
Ach! bo to biedna mała kaleka,  
Z bezwładnym skrzydłem z jajka wykłuta,  
Wciąż słabym piskiem próżno narzeka,  
Ze się do gniazdko czuje przykuta.

Siostry dzierlatki rodzinne niwy  
W chylim swym locie z dawną zwiędziły,  
Rozpowiadają o świecie dziwy!  
Jak las obszerny, jak cień w nim miły,  
Jakie w nim rosną pachnące zioła,  
Ile żyjątek wszędzie dokoła.  
A nasza mała kaleka biedna  
Cudnej powieści słucha z westchnieniem:  
Świat taki piękny, a ona jedna  
Skarżyć się musi załosnym pieniem!...  
Rosną wciąż w siły zdrowe dzierlatki,  
Aż im się stało w domu zaciasno,  
Więc się wykradły z pod skrzydeł matki,  
I każde miało siedzibę własną.

Lecz nie sierotę ptaszek mateczka,  
Bo jój zostaje kaleka mały,  
Ten nie opuści nigdy gniazdeczka,  
On w sercu matki znalazł świat cały,  
Z bezwładnym skrzydłem frunąć nie może,  
A wdzięczną piosnką w wiosenną porze  
Śród kalinowych gajów rozbrzmiewa.

Kiedy wędrowiec, strudzony drogą,  
Spocznie pod cieniem krzaku kaliny,  
Raźniej mu w duszy i w sercu błogo,  
Przy dźwiękach piosnki skromnej ptaszyny.  
Nieraz dziewczeczka o szarym zmroku  
Przybieży spocząć, szukając cieniu,  
Ptaszek, spostrzegłszy łożkę w jój oku,  
Niesie jój pieniem ulgę w strapieniu.

Wanda Olszowska.

# PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki.**

(Dalszy ciąg).

Tola umilkła, wzięła ze swęj szuflady koszyczek z robotą i zaczęła rozkładać na stole prześliczne koronki. Była to jęj praca ulubiona, któręj poświęcała zbywające od nauki chwile, a ze sprzedaży miała już tyle, że matka na wszystkie jęj potrzeby nie wydawała i grosza. Tola była bardzo szczęśliwą, że kochana matka mogła mieć teraz dla siebie nie jednę wygodę, nie wydając na nią, że mogła sobie wypoczywać po tyłu trudach, jakie ponosiła, wychowując dzieci, i będąc zmuszoną pracować nieraz po nocach, aby zaspokoić wszystkie ich potrzeby. Dzisiaj ona przykłada się już do zapewnienia ogólnego spokojnego życia, nie tyle wprawdzie jeszcze, co Jadwina, lub brat, kochany Julek, który jest inżynierem, ale zawsze pracuje, ile może, i praca jęj opłaca się dosyć. Przyglądając się tak rozłożonym koronkom, twarz jęj rozjaśniała się coraz więcej, widocznie spokojniejsze myśli snuły się po głowie tęj biednej istoty, bo wkrótce i uśmiech zadowolenia pojawił się na bladych, wązkich ustach. Tola miała lat czternaście i kończyła piątą klasę.

Matka i córka siedziały w milczeniu, dziewczynka nie była dzisiaj usposobioną do rozmowy, robiła szybko swe czarne koronki. Tak czas upłynął do czwartęj i Jadwiga wróciła ze swych lekcyj. Ucałowała ręce matki, i serdecznie uściśnięła Tolę.

— Tak późno dzisiaj wracasz — rzekła matka, podnosząc się, aby kazać podać obiad — czy się co wydarzyło niezwykłego dla ciebie?

— Nie, mateczko — odpowiedziała, zdejmując kapelusz i okrycie — nic się nie wydarzyło, tylko Lenka zaprowadziła mnie do swęj matki, i uszła mi godzinka.

— Doktorowa Z. to bardzo zacna i rozumna kobieta — rzekła pani Wrześniewska.

— Córka nie odrodziła się od matki — powiedziała z żywością Jadwiga — Lenka jest tak miłym i dobrým dziećciem, że kochać ją każdy musi.

— Mówiłaś, że jest bardzo ładna — rzekła Tola — pozyskała więc twe serce urodą, i na wszystko patrzysz z pewnym przychylným uprzedzeniem.

— Mylisz się, Tolo kochana, sądząc, że piękna twarzyczka zastąpi brak serca i rozumu — rzekła matka, spoglądając z miłością na garbuska, chociaż zarazem stłumiła westchnienie, wydobywające się z jęj piersi.

Dziewczynka nic nie odpowiedziała, ale gdy wieczorem znalazła się sama z Jadwigą, położyła głowę na jęj piersiach i cicho załkała.

— Tolo moja, co ci jest? — zawołała starsza siostra tuląc w objęciu płaczącą — co ci jest, kochana?

— O, Jadwisiu, jaka ja bardzo czasem jestem nieszczęśliwa — mówiła szepem prawie — wierzaj mi, chciałabym umrzeć nieraz, aby się choć w grób usunąć z przed oczu ludzi.

— I ty tak możesz mówić, Tolo — rzekła Jadwiga z wyrówką w głosie — ty, tak ukochana przez matkę i Julka, a o sobie czyż mówić potrzebuję? Takich słów, dziecko, nie rzuca się w rozdrażnieniu, są one zniewagą Bogu, grzechem przeciw społeczeństwu.

— Ach! gdybyś ty wiedziała, jak cierpię nieraz strasznie z powodu mego garbu i brzydoty — mówiła Tola, załzawione oczy podnosząc na siostrę — gdybyś ty mogła to odczuć, jak strasznie cierpię i dzisiaj właśnie... tak, powiem ci wszystko, tylko niech mama nie wie o tęp, jęj tak zawsze boleśnie, gdy się dowie, że ja mam jaką przykrość z powodu męj ułomności.

— Cóż więc znów było, kochana siostrzyczko moja? — zapytała Jadwiga, z miłością gładząc jasne długie, włosy dzie-

wczyny — czy nie ta niedobra Flora powiedziała jakiś dowcip, z którego się śmiały bezmyślnie koleżanki?

— Tak, to Flora rzeczywiście zrobiła mi wielką przykrość, ty wiesz, Jadwiniu, że skarżyć się nie lubię, a jednak dzisiaj muszę ci wypowiedzieć wszystko, ty tak zawsze potrafisz uspokoić mój żal i zniechęcenie do koleżanek, nad którym czasem zapanaować nie umiem. A jednak chciałabym je kochać, a raczej kocham je i teraz, nie wyłączając Flory, która gdyby czuła to, jak mnie rani boleśnie, zaprzestałaby może swych żarcików, które za dowcip uważa.

— Wierzaj mi, Tolo moja, że w przyszłości Flora policzy sobie do najprzykřejszych na pensji te chwile, w których dokuczala tobie. Dzisiaj jest ona jeszcze widocznie bezmyślným dzieckiem, mimo swych lat piętnastu, ale gdy przyjdzie czas, że umyśl jęj zastanawiać się znacznie, wtenczas i w sercu ozwał się ludzkie uczucia, będzie się więc czuła upokorzoną tęp, częm się dzisiaj chlubi. Bo dowcip jest darem miłym i bardzo pożądanym, ale jeżeli nie rani nikogo. Lecz cóż to było? powiedzże mi, kochanie ty moje, najlepsza, jedyna siostrzyczko.

— Gdy mówić o tęp zaczęłam, już się zmniejszyła przykrość moja — odrzekła Tola — kto ma taką kochającą i dobrą siostrę, jak ty, Jadwiniu, ten nieszczęśliwym być nie może. Ja to rozumiem, że piękna twarzyczka i figurka zgrabna nie stanowią szczęścia, i mego garbu i brzydkięj twarzy zeszpeconej ospą, nie nazywałabym nigdy nieszczęściem, gdybym mimo to miała przyjaźń i miłość koleżanek; ale tak na każdym kroku widzieć, jak spoglądają na mnie ze wstrętem prawie, jak nikt nigdy serdecznie nie uściśnie mi ręki, jak przez lat cztery męj bytności na pensji ani jedna nie jest mi przyjaciółką, lecz każda stroni odemnie, to przykro, bardzo przykro.

— To prawda, że przykro — mówiła Jadwiga — ale przyznaj, Tolo, że jest w tęp wiele i twojęj winy. Masz takie zane, pocziwe serce, lgnące do ludzi, w duszy kochasz swe koleżanki, dla czegóż przez źle zrozumianą dumę odsuwasz się od nich? Mówisz, że je razi twoja twarz brzydka; czemuż nie pokażesz im twego pięknego serca, czemuż nie podzielisz się z nimi bogactwem twych uczuć dla tego, co piękne, wzniosłe i szlachetne? Masz taki łagodny i słodki charakter, gdybyś raz odważyła się powiedzieć im, że prześladowa cię niesłusznie, że to nieszlachetnie z ich strony sztydzić z czjegego kalectwa, które samo w sobie jest już dość przykrým, czy sądzisz, żeby to nie wywarło wpływu?

— Ja, ja miałabym ich prosić o litość! — wykrzyknęła Tola, odsuwając się od siostry — miałabym się zniżyć do błagania, aby mi nie rzucały w oczy słów, które mnie ranią i kaleczą? nigdy! o nigdy, Jadwiniu.

— Jesteś więc tak bardzo zawziętą? — spytała spokojnie Jadwiga.

— Zawziętą? nie, ja nie jestem zawziętą, bo dzisiaj nawet, gdyby do mnie Flora wyciągnęła rękę, uściśnięłabym ją serdecznie i nie czułabym do nięj żalu; ale pierwsza nie odezwę się do nich za nic w świecie.

— Gdybyś je nawet poprawić tęp miała? — zapytała Jadwiga.

— Alboż do mnie należą ich serca i dusze? — odparła Tola.

— Więc jeżelibyś widziała, że która z twych koleżanek zanurza ręce, dajmy na to w kwasie siarczanym, aby nim twarz umyć, sądząc, że to woda czysta, czy nie ostrzegłabyś jęj, wiedząc, jakie są skutki tego płynu? — zapytała znów Jadwiga, patrząc badawczo na siostrę.

— Jak możesz nawet pytać o to! — rzekła Tola, wstrząsając się cała — wyrwałabym jęj to z ręki, choćbym się sama poparzyć miała; ty nie wątpisz o tęp, Jadwiniu?

— Nie wątpię ani na chwilę — odpowiedziała — nie rozumiem tylko, dla czego nie wahałabyś się uratować od zeszpecenia twarzy, pozbawienia wzroku, a nie uczyniłabyś nic, by uchronić ich serca od brzydkięj skazy złośliwości, która dochodzi czasem do okrucieństwa. Dla czego nie powstrzymasz swych koleżanek od bezdusznego szyderstwa, którym cię ranią, a sobie wyrządzają tęp stokroć większą krzywdę, tego

nie rozumiem, powtarzam ci to, moja Tolo. Lecz powiedz mi nareszcie, co uczyniła dziś Flora? Chcę wszystko wiedzieć, co tylko spotyka moją kochaną siostrzyczkę.

— Flora, jak wiesz, jest jedyną córką bogatych bardzo rodziców, przytęm ładna, figurkę ma zręczną, jest śmiałą i dowcipną, a że ma zawsze dużo pieniędzy, które wydaje na różne przysmaczki, częstując nimi hojnie wszystkie panny na pensyi, ma więc bardzo dużo przyjaciółek, a nawet, że się tak wyrażę, wielbicielek swęj urody i dowcipu. Flora szczególniej mnie nie lubi, za co? doprawdy, Jadwiniu, ja nie wiem, nie opuści jednak żadnej sposobności, aby nie wynaleźć we mnie coś takiego, z czegoby wyśmiać się można; ja nie bronię się nigdy, a wiesz, dla czego? Słyszałam raz zdanie bardzo poważnego pana, który mówił, że garbaci są złośliwi z natury, uszczypliwi i gwałtowni. Chciałabym dowieść, że tak nie jest, że przynajmniej wyjątki znaleźć można, więc chociaż czasem mogłabym powiedzieć im również co przykrego, milczę, a one na drugi raz czynią to samo. Dziś na lekcji literatury profesor I., który lubi często opowiedzieć nam jaką anegdotkę, zaczął mówić o Ezopie, opisując zarazem, jak bardzo był brzydki; śmiałyśmy się wszystkie z opowiadania tego, a w czasie pauzy Flora zapytała mnie głośno, aby być przez wszystkie słyszaną, czy nie piszę bajek? byłoby to bowiem powtórne wydanie i pod względem utworów i autora, wydanie poprawne i przyozdobione. Panienki roześmiały się chórem, ja czułam, jak mi krew uderzyła do głowy, milczałam jednak, ale też nie mogłabym była wymówić i słowa, tak mię coś w gardle ścisnęło. Nie dosyć na tém, przyszła Ewelinka N. z drugiej klasy, a Flora jej powiedziała niby przyciszonym głosem, tak jednak, że słyszałam to dobrze, iż odtąd mogą mnie śmiało nazywać Ezopem. Dziewczynka, nie rozumiejąc nawet dobrze, że śmiechem pobiegła do swęj klasy z tą nowiną, a gdyśmy się rozchodziły, obijało mi się nieraz o uszy: „Ezop idzie, ach, jak Ezop paraduje!”

Powiedziawszy to, Tola z płaczem zarzuciła ręce na szyję siostry i dodała cicho:

— O, Jadwiniu moja, cożem ja winna temu, że tak brzydką jestem.

— Jest — rzekła Jadwiga z oburzeniem i łzy błysnęły w jej pięknych oczach — stokroć brzydsze są te, które ciebie wyśmiewają; o tak, są brzydkie, szkaradne. Ale tak dłużej nie będzie, jutro pójdę do przełożonej pensyi, opowiem jej wszystko, a z pewnością położę koniec tym niecnym dowcipom.

— O! nie czyni tego, Jadwiniu — zawołała Tola, składając ręce na piersiach — nie czyni tego, jeżeli mnie kochasz, oskarżenie to mogłoby popsuć stopnie nie jednej. I to miałyby być z mojęj przyczyny! Nie, Jadwiniu, uczynić tego nie można.

— Maszże więc cierpieć niezasłużenie? — mówiła Jadwiga — a zresztą, czyż nie jest obowiązkiem położyć tamę złemu uczuciu w sercu dzieci? Ta Flora może wprowadzić na złą drogę nie jedną dobrą nawet dziewczynkę, której niema komu przestrzedz, że wyśmiewanie takie jest niegodziwością.

— A jednak oskarżać ich nie możemy — rzekła Tola stanowczo — nigdy z męj przyczyny nie będą miały najmniejszej przykrości. Jedna myśl przychodziła mi już po kilka razy do głowy, ale nie miałam odwagi zastanawiać się nawet nad nią, to byłoby takie bolesne dla mnie.

— I cóż to za myśl, siostrzyczko? — zapytała Jadwiga, ochłonawszy już nieco z oburzenia — powiedz mi, dziecko kochane.

— Żeby... nie, nie mam odwagi wypowiedzieć tego — rzekła biedna dziewczyna ze łzami.

— Cóż takiego jednakże?

— Żeby nie kończyć już pensyi, poprzestać na czterech klasach i zacząć się na dobre uczyć koronkarstwa — rzekła smutnym głosem Tola. — Siedziałabym w domu i niktby mnie nie potrzebował widzieć.

— Co za szalona myśl! — wykrzyknęła Jadwiga — przesadzasz już, moja droga, czyż na świecie są tylko same ładne kobiety? cóżby to byli za ludzie, coby tylko wdzięki cenili?

Prawda, że ładna twarz miłe sprawia na każdym wrażenie, ale wierzaj mi, Tolo droga, że kobieta rozumna, szlachetna i dobra, zawsze będzie miała pierwszeństwo przed lalką salonową. A jakie ty masz śliczne oczy, dzieciaku mój biedny — dodała pieszczotliwie, podnosząc jej głowę do góry — takie śliczne, jak niebo w dzień pogodny.

(d. c. n).

## OBRAZKI Z LITERATURY.

przez Z. Morawską.

### I.

Jakto dawniej mówiono i pisano.

Gdybyśmy jakim dziwnym cudem ocucili kogoś żyjącego przed tysiącem lat, jakiegoś Piasta, Ziemowita lub Mieczysława I-go i chcieli się z nim rozmówić, doprawdy niemałe byłoby to zadanie. Biedaczyno nie rozumiałby nas i siliłby sobie głowę, a potem machnąwszy ręką, położyłby się napowrót do trumny, mówiąc: „Oni tam coś prawią, dźwięki niby znane, a jednak trudno ich zrozumieć”.

My zaś chcielibyśmy z całą uprzejmością spełnić żądanie przybyłych z tak odległych wieków, a tak dostojnych panów, jednakże po długim namyśle, doszlibyśmy do tego przekonania, że oni zapewne wymawiają tylko początek lub koniec wyrazów, znanych nam z jakichś ksiąg dawnych, lub też z wyrażań ludowych, zasłyszanych podczas przechadzki na wsi. W końcu, wruszywszy ramionami, litowalibyśmy się nad ubóstwem wyrażań tak znakomitych osób, jakimi byli owi goście z tamtego świata.

Zresztą nie potrzeba i tak odległych czasów, i tak dawno spoczywających ludzi, gdybyśmy nawet pojechali na koronację Władysława Łokietka do Krakowa w roku 1319, okrzyki radosne trafiałyby nam wprawdzie przez ucho do serca, lecz gdybyśmy wyrobili sobie posłuchanie u króla, toby on znów rzekł: „Co zacz chcesz? mówcie tak, żebym was zrozumiał”. Toż samo rzekłby do nas i Kazimierz Wielki na sejmie w Wiślicy, i jego następcy.

Gdyby zaś w XV wieku pozwolono nam słuchać mądrych rad, jakie Długosz dawał synom Kazimierza Jagiellończyka, to musielibyśmy bardzo pilnie słuchać, żeby coś z tego zrozumieć. Nawet gdyby Olbracht lub Zygmunt chciał się z nami zabawić, to również nie łatwo przyszłoby do porozumienia. I ich wyrazy podobniejsze byłyby do wyrażań ludowych, aniżeli do tych, jakimi my dziś mówimy. A już gdybyśmy do którego z tych synów królewskich napisali list z prośbą, żeby nas przyjął na dwór swój, napróznoibyśmy oczekiwali odpowiedzi, bo pisma naszego, takiego, jakim dziś piszemy, nie odczytałby żaden nawet przy pomocy swego uczonego przewodnika. Nie bądźmy jednak zarozumiali i nie sądźmy, że to dla tego, żeśmy tak mądrze napisali, synowie królewscy nas nie rozumieją, wcale nie, tylko dla tego, że pisma takiego, jakim ono jest dzisiaj, wówczas jeszcze nie znano.

Z językiem każdego narodu dzieje się to samo, co z mową dziecka. Dziecię ma swą odrębną mowę, a chociaż pierwotne jej dźwięki zawsze zbliżone są do téj, jakiej używają otaczające je osoby, do języka ojczystego, jednak są to wyrazy, które dopiero z rozwijaniem się władz umysłowych wzrastającego młodzieńca nabierają właściwego kształtu.

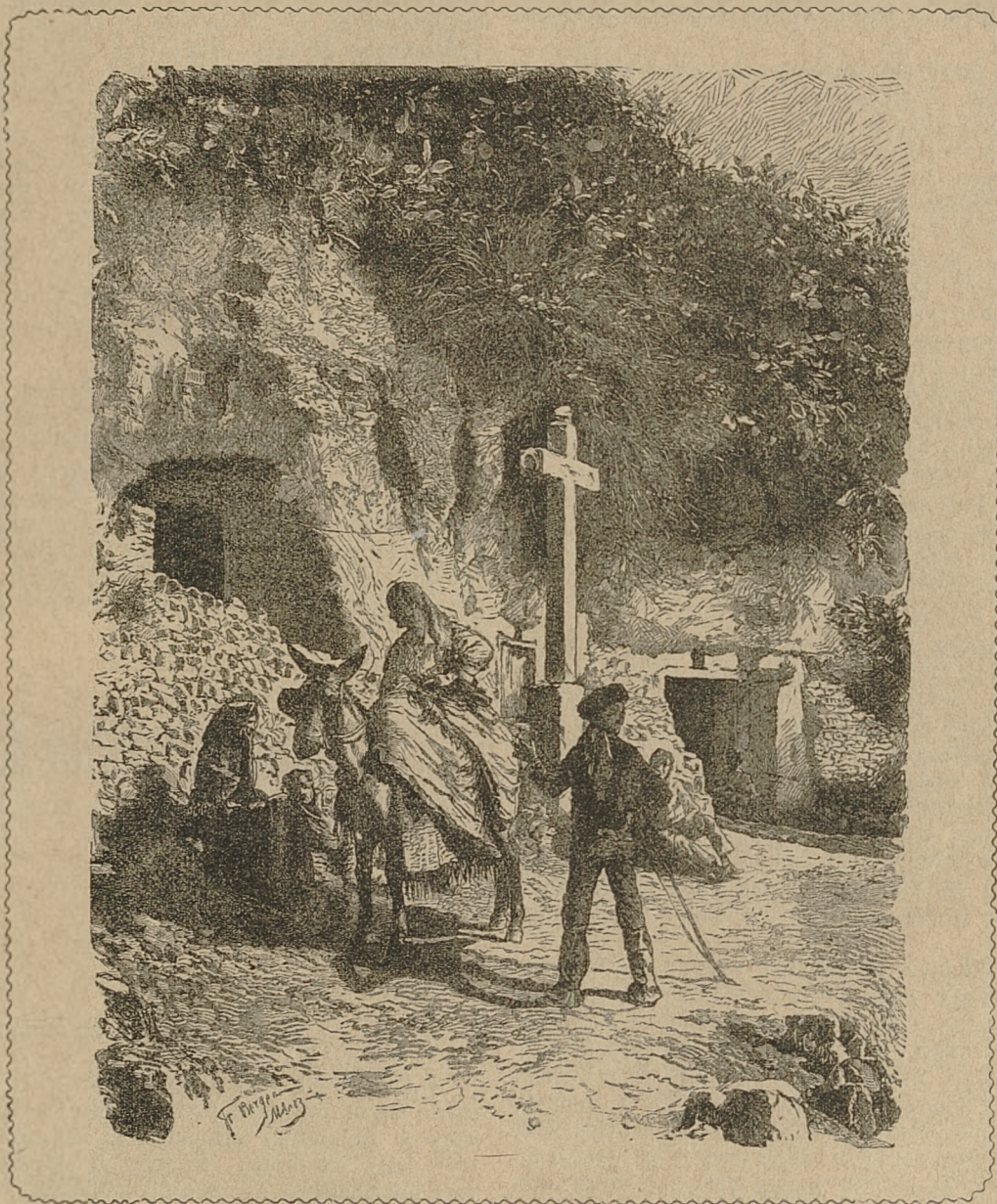
Komuż z nas nie przypomina matka lub piastunka, jak będąc maleńkim mówił: *lulu, pa*, zamiast spać, *papa*, zamiast jeść, lub *da*, zamiast wyraźnego daj. A zresztą, któż tam wliczy te różne nazwy, jakie dawaliśmy otaczającym nas przedmiotom? Rozumieli nas tylko ci, którzy kierowali pierwszymi naszymi krokami; a jednak dziś doskonale porozumiemy się z każdym, ze znajomym czy nieznanym, byle pochodzącym z tego samego narodu, a więc mówiącym tym samym co i my językiem.

To, co się dzieje z mową dziecka, stało się z mową całego rodu. Z początku ludzie nazywali najbliższe i najkonieczniejsze przedmioty, w miarę jak tych przedmiotów około nich przybywało, i nazw dla nich również przybyło, a z rozwinięciem się myśli i uczuć narodu, przybywało i wyrazów dla wypowiedzenia takowych.

Jedne nazwy stworzył sobie człowiek sam, inne zapożyczył dźwięków przyrody: szum lasów, wody spadającej z gór pokami, huk gromu, chrzęst i odgłosy boju, lekkie kołysanie liści wśród łagodnego wietrzyku, wszystkie te odgłosy by-

mujący się rolnictwem, również mieli potrzebne ku temu narzędzia, nazywali je, jako też i rośliny uprawiane, a mieszkańcy nad jeziorami i rzekami nie pozostali za nimi. Ztąd powstawała mowa, a w miarę tego, jak mieszkańcy ze sobą zawierali stosunki, przejmowali jedni od drugich wyrażenia, łącząc w jeden zrozumiały dla siebie język.

Z wprowadzeniem religii chrześcijańskiej, a więc świątyń, obrazów i obrzędów, powstały i nazwy takowych; te pochodziły z łaciny. Przybyli zaś z Dąbrówką Czesi pozostawili dużo wyrazów, które jako pochodzące od narodu jednego



Mieszkania jaskiniowe w Hiszpanii (str. 366).

z naszymi nauczycielami. Żaden bowiem język nie ma tyle o nasz wyrazów wziętych z otaczającej go przyrody. A jeżeli się tylko wsłuchamy, to od łagodnych wyrazów matki, nieszczącej swoją dziecinę, aż do okrzyków cierpienia, grozy, lub gwałtownego krzyku bóleści, znajdziemy je w otaczającej nas przyrodzie.

Lecz nie na tych tylko dźwiękach wytworzył się nasz język; to tylko główny jego rdzeń, dający życie całemu drzewu. Każda okolica miała swoje wyrażenia, często innym nieznanne, a te tworzyły się w miarę zajęć mieszkańców. Ci więc, którzy mieszkali w lasach, a głównym zajęciem ich było myślistwo, musieli mieć do tego stosowne przyrządy, nazwać takowe, że zwierzem się zbratać i jemu też nadawać nazwy; zaj-

z nami szczepu, mająca podobieństwo dźwięków, tém łatwiej się przyjęły. Ze zaś Czesi mieli już w owym czasie więcej rozwinięty język, na nim więc nasz począł się kształcić, łagodząc na miękkich i śpiewnych wyrażeniach czeskich swoje twarde dźwięki. Podczas wojen z Tatarami, w walce często ktoś powtórzył wyraz u nich zasłyszany, choćby dla przedrzeźnienia, potem go sobie przyswoił; nareszcie ze zdobytymi na Turkach przedmiotami weszły znów ich nazwy w użycie.

Po wyludnieniu miast naszych przez Tatarów w XIII-tym wieku, gdy otworzono bramy cudzoziemcom, najwięcej wtedy przybywało Niemców, jako najbliższych, chociaż i z dalszych krajów częstokroć sprowadzono jakiegoś rzemieślnika lub artystę. Ci z rzemiosłami i narzędziami znów wprowadzali ich

nazwy, a wraz z nimi i sami wrosli w naszą ziemię, zleli się z narodem, tak, że ani ich, ani ich wyrażen, niepodobna było od swojskich odróżnić. Tym sposobem język nasz dorabiał się i z bogacał, nie zaniedbując żadnej przyjaznej sobie okoliczności. Lecz wszystkie te nazwy, te obce naleciałości, trzeba było ująć w jedną całość, utworzyć z tego język według jakichś zasad i prawideł. Praca to była nielada, potrzebująca i czasu i pilności czuwających nad tą sprawą ludzi.

Trzy były główne narzecza, któremi mówiono: mazowieckie, wielkopolskie i małopolskie. Tém ostatniém mówiono na dworze królewskim, lecz ludzie uczeni używali tylko łaciny, bo ten język, jako zupełnie wykształcony, miał prawo obywatelstwa w każdym kraju, a uczeni muszą się przeciw z sobą porozumiewać.

Łaciny również używano na sejmach, przy wykładach w szkołach i akademii. Dopiero w XVI wieku Mikołaj Rej, nie umiając po łacinie, pisać zaczął narzeczem małopolskim, tuż obok niego Jan Kochanowski kreślił swe prześliczne pieśni. Tym sposobem narzecze małopolskie stało się językiem książkowym; przekonano się, że język nasz nadaje się do pisma, zaczęto uważać na jego zwroty i wyrażenia, a powoli pismo samo stawało się nie tak zadziwiającą sztuką, dostępną tylko dla uczonych i księży. W XVI-tym wieku również książd Stanisław Zaborowski wydał najpierwsze dziełko o ortografii polskiej, wprawdzie było ono napisane po łacinie, a litery polskie wzięte z łaciny tak pokropkowane, że pismo wydawało się jakby przeszło ospę, pozostawiającą po sobie straszne ślady. Zawdzięczamy mu jednak bardzo wiele. Czas wygładził wszelkie ślady tak wewnętrzne jak i zewnętrzne naszego języka. Owe wyrazy cudzoziemskie zrosły się już z nim zupełnie i któż tak odrazu pozna, że nazwa *dom* ma pochodzenie łacińskie, *kszałt* lub *zegar* niemieckie, a *filiżanka*, którą pijemy, lub *sofa*, na której siedzimy, tureckie. Nie mówimy już o wyrazach wziętych z francuzkiego, które jako późniéj przyswojone łatwiej daleko odróżnić.

Im więcéj pisano, tem więcéj język się kształcił i rozwijał. Wykształcenie jednak pierwotne zawdzięcza łacinie, brano z niéj wzory i formy, według których urabiano odmiany ojczyściéj mowy. W wieku XVI-m do połowy XVII-o język nasz jaśniał czystością i jednością dźwięków. W drugiéj połowie XVII wieku skażony został mieszaniam wyrazów i zdań łacińskich, i to łaciny zepsutéj. Z owego wieku utwory tchną jakąś napuszoną formą, wyglądają tak, jak osoba, która na siebie włoży tysiące nastrzępionych ozdób. Taka mowa, przeplatana łaciną, zwie się makaronizmem, który powiększono jeszcze w XVIII-tym wieku przez wprowadzenie francuzczyzny.

Moda ówczesna nakazywała wplatać całe zdania francuzkie, lub też zaniechawszy rodzinnéj mowy, szczebiotać obcym językiem. Lecz opatrzone się, jak to jest szkodliwe i niewłaściwe. Stanisław Konarski Pijar w XVIII wieku zaprowadził reformę w szkołach, zniósł łacinę, a Onufry Kopczyński, także Pijar, napisał pierwszą gramatykę polską, po polsku, opierając ją jednak na wzorach łacińskich. Kopczyński dał początek, inni poszli jego torem i odtąd nasz język wszedł na właściwe sobie drogi. Bogactwo mowy rozwijaé się zaczęło z niezwykłą szybkością, a tak, jakośmy z początku powiedzieli, owe obce wyrazy nietylko mu nie zaszkodziły, lecz jeszcze stały się jego dorobkiem, który pracowicie zamieniony we właściwe zwroty i końcówki, dał nam tylko więcéj wyrażen do wypowiedzenia myśli. Język też nasz liczy się do najbogatszych; oprócz wielkiéj ilości dźwięków czyli liter, ma 105,000 wyrazów, posiadających ogromną ilość odmian i wielką swobodę w układaniu ich w zdania. Przy takiém bogactwie ojczyściéj mowy, czy potrzebujemy zapożyczać obcych zwrotów, lub niewłaściwie używać cudzoziemskiéj mowy? Języki obce są nam potrzebne, uczmy się ich, wzbogacajmy przez nie naszą wiedzę, lecz myśmy i mówmy w ojczyściem języku. Niech tylko myśl będzie bogata, język nasz dostarczy nam wyrazów do jéj wypowiedzenia, a piękność i dźwięczność naszéj mowy zawsze nam będzie najmiłszą.

## Mieszkania jaskiniowe w Hiszpanii.

Czytelnicy nasi wiedzą zapewne, co znaczy epoka przed historyczna. Tak nazywają dawne, niezmiernie starożytny czasy, których niema sposobu obliczyć na lata, bo jeszcze wówczas nikt nie spisywał dziejów, dat nie zaznaczał i kronik, żadnych nie przekazywał następnym pokoleniom. I tak na przykład w głębi jaskiń podziemnych, tak w Europie, jak i w innych częściach świata, odszukano kości ludzi, którzy tam niegdyś mieszkali musieli, gdyż pozostawili po sobie rozmaite ślady, i szczątki ognisk, i broń niezmiernie jeszcze prostą, pierwotną, bo z kamienia wyrobioną, i rozmaite narzędzia codziennego użytku. Jak z tych wszystkich zabytków wnosić można, musieli to być jacyś ludzie zupełnie dzicy, z polowania żyjący, przy ogniskach pozostały resztki kości różnych zwierząt, a broń owa do łowów służyła zapewne. Nie mam żadnych innych wiadomości o tych starożytnych ludach, a gdyby nie te odszukane ślady, nie wiedzielibyśmy nawet o ich istnieniu. Wyobrażamy sobie tylko, że musieli to być ludzie nadzwyczaj upośledzeni, skoro nie przyszło im nawet na myśl, aby sobie klecić jakieś chatki z drzewa, którego przecież nie brakło po lasach, lub przynajmniej z gałęzi, jak czynią Indianie amerykańscy, lecz chronili się, naksztalt dzikiego go zwierza, po jaskiniach.

Cóż jednak powiecie na to, że i dziś, za naszych czasów w XIX stuleciu, i to w kraju cywilizowanym, w Europie, są jeszcze prawdziwe jaskiniowe mieszkania. W Hiszpanii, w połowie drogi pomiędzy Murcją i Grenadą, leży miasto Guadiks na przedmieściach jego i w okolicznych wioskach widzieć można mnóstwo nor podziemnych, wygrzebanych w miękkiej, gliniastej skale. Ludność, żyjąca w tych osobliwszych mieszkaniach, składa się przeważnie z Cyganów i potomków Maurów afrykańskich. Miasto Guadiks pozostawało w ręku Maurów aż do roku 1589-go.

## LANDGRAFÓWNA ZOSIA

POWIEŚĆ Z CZASÓW RYCERSKICH

przez M...a.

(Dalszy ciąg).

XVI.

### Kwita z byka za indyka.

— Czy wielmożny pan nie powraca z nami do Eisenach? pytali karla dwaj jego podkomendni, najadłszy się i przepawszy w publicznej gospodzie na rozstajnych drogach, z kąk rozjechały się dzieci. Przyjaciele umyślnie wybrali to miejsce i na schadzke naznaczyli je Philowi, aby książę Henryk i jego stronnicy nie mogli domyśleć się, kto bierze dzieci i dokąd je uwozi. Dwom żołnierzom też umyślnie kazał Phil jeść i spać w gospodzie, aby powracając zaraz do Eisenach nie uwiadomili Chrypki o tém, jak się Phil wywiązał z polecenój mu sprawy, bo dowiedziawszy się zawcześnie, Chrypka mógłby pogoń za dziećmi rozesać i schwytać te biedne myszy, które mu się z pułapki wymknęły. Ale po niejakiem czasie, gdy niebezpieczeństwo minęło, a żołnierze sądzili, że doskonale wypełnili wolę potężnego Chrypki, tedy wracając do Eisenach dziwili się, że ich chwilowy dowódca nie wraca z nimi.

— Nie, nie wracam, gdyż ważne sprawy powołują mnie gdzieindziej — z dumą odrzekł karze — ale wy idźcie prosto do wielmożnego pana Chrypki i powiedźcie mu odemnie te słowa:

— Kwita z byka za indyka za sto dukatów!

Żołnierze powtórzyli sobie kilkakrotnie te wyrazy, aby dokładnie spamiętać i stanawszy następnie przed Chrypką, powtórzyli je wiernie, poczem opowiedzieli cały przebieg wyrawy:

— Ha! Szkaradna Potworo! chytra gadzino! niechno ja chwycę cię, to cię rozdepczę na miazgę, kiedy mi zemstę moję ydarzę!... — zakrzyczał Chrypka, zrozumiawszy, że karę wykradł i ukrył wnuki Hermana. Chrypka pracował od k dawna na tę zemstę i był jęj wczoraj tak już pewny, że raz do rozpaczy dochodził, widząc się jęj pozbawionym i to szcze przez tę nędną istotę, tego karła, którego on gorzej niż ostatniego psa traktował, za to właśnie, że niegdyś książę erman I-szy go lubił. Życie Phila bowiem nie było wcale przykrém za życia landgrafa tego, ani późnięj nawet za do tego landgrafa Ludwika, ale stawało się coraz nieznośnięj — w miarę, jak Chrypka przychodził do wpływów na tungsckim dworze, a mały Phil znowu niewiedzieć czemu przywiązywał się do Chrypki, nawet mimo złego obejścia, tak ławnie, jak to psy względem swoich panów czynią. Dopiero we sto dukatów przyrzeczonych za szukanie dokumentu, zastąpionych lada jakimi fałszywymi blaszkami, rozgnięła ostatecznie karła na Chrypkę. Jednakże i tak jeszcze Phil nie działał z zamiarem zemsty przeciw Chrypce, lecz tylko Zosię landgrafównę chciał ratować, a dopiero gdy przypadkiem udało mu się uratować wszystkie wnuki Hermana I-go, wtedy rad z figla, przypomniał Chrypce fałszywe dukaty, udając, że niby to działał z obmyślonym planem i odrwił wytrętego dworaka, na co nie stać było wcale biednego karła, czém on sam nawet wiedział podobno.

Szalony gniew i rozpacz Chrypki oświeciła dopiero dwóch żołnierzy, nieświadomych towarzyszy karła, o prawdziwym znaczeniu tego, co się stało, a że w złości Chrypka zapomniał nakazać milczenia, zatem wieść o wykradzeniu dzieci książęcych przez karła rozniosła się natychmiast wszędzie, doszła aż do landgrafowój Elżbiety i uspokoiła ją co do losu dzieci, które znikły podczas jęj modlitwy w przyległej izbie. Wyuszczone też zaraz Elżbietę z owego pałacu-wieżienia, a razęj pozwolono jęj niby uciec, bo nie o nią dbano, lecz o dzieżiców tronu. Pozwolono nawet landgrafowój Zofii skrycie przybywać do siebie Elżbietę za pośrednictwem Guty, sądząc, że synowa wróci chętnie do Wartburga i znękana, zapomniana, i zropaczona, dokona życia gdzieś tam cicho w kącie zamku, wśród niewiast służebnych nowój landgrafowój, żony landgrafa panującego Henryka. Ale z dziwną Elżbietą Węgierską chytróść ludzka nigdy nie mogła dojść do celu. Elżbieta wróciła do owego chlewka i pozostała w nim, mieszkając spokojnie u stóp Wartburga, zarabiając na wyżywienie przedziwem i dalej jak niegdyś opatrując chorych posługując im własnymi rękami. Landgraf Henryk panował srogo, rządząc przez swych zauszników. Sądono na pewno, że on i jego dynastia utrzyma się na książęcym tronie, a księżna Elżbieta i jęj dzieci pomrą zapomniane.

## XVII.

### Phil minnesingrem.

Po odejściu dwóch swoich podkomendnych, karzeł Phil przedewszystkiém wziął nogi za pas i uciekł, jak mógł najdalej na południo-zachód od owęj gospody, stojącej na rozstajnych drogach na granicy Turynghii. Oddaliwszy się do piero od granic i pewien, że Chrypka nie każe aż tu go ściżać, stanął Phil i pomyślał, co pocznie dalej z sobą? Wychowany on był w Turynghii, w wartburskim zamku, z książętami młodymi Konradem i Henrykiem, ale teraz tak się przysłużywszy landgrafowi Henrykowi, nie było po co wracać do niego, a o reszcie świata Phil mało wiedział. Domyślał się jednakże, że muszą być na świecie wszędzie wiecy panowie, utrzymujący liczne dwory, a więc potrzebujący na tych dworach mieć karłów, i trefnisiów, i błaznów, bo jakżeby większy dwór jaki mógł istnieć bez tego?...

— Otoż tedy, ponieważ wkrótce będę potrzebował jeść, i spać pod dachem, przeto trzeba mi iść prosto przed siebie,

pytając, gdzie są wielko-pańskie dwory? Znalazłszy dwór taki, pytać się będę, czy nie trzeba tam przypadkiem takiej jak ja utalentowanej do chodzenia na głowie osoby? Jeśli mię przyjmą, to zostanę, a jeśli miejsce będzie zajęte, to pójdę dalej, podjadłszy sobie i przespawszy się, czego przecież podróżnym na żadnym dworze się nie odmawia.

Tak sam do siebie po swojemu mrucał karzeł, stojąc wpośród drogi, a wymruczawszy sobie taki plan, ruszył prosto przed siebie, gdzie oczy poniosą, szukać wielko-pańskich dworów. Ponieważ milczeć nie umiał, a przykrzyło mu się ciągle mruzcę jednakowo, więc idąc rozmawiał sam z sobą, raz mówiąc bardzo grubym głosem, to znow odpowiadając sobie cieniutczkiem, jak pajęczyna głosikiem, co wyglądało a raczćj brzmiało, jakby dwie osoby rozmawiały, a taka rozmowa rozrywała karła w podróży. Więc np. mówił basem:

— Ośle Philu! barania głowo! nogo stołowa! dla czegoż nie spytales znajomych ci począwszy ludzi, którzy zabrali Zosię landgrafównę, dokąd ją wiozą? Oto poszedłbyś teraz za nią i pilnowałbyś, aby się co złego nie stało dobremu dziecku, które cię tylko raz jeden Potworą nazwało, i to za kota!

A na to odpowiedział Phil cienkim dyszkantem:

— A widzisz, Philuniu, jaki ty głupi? Czemuż nie spytales?...

— A słyszales, ośle, co o tobie mówili ci państwo, którzy dzieci uwozili, gdy one im opowiedziały, jakieś je okienkiem wykradał Chrypce? Oni mówili, patrząc na ciebie: „Oto poczciwy człowiek”.

— A to widzisz, kapuściana głowo, Philuniu, że Zosia landgrafówna miała racyą mówiąc ci, że ten tylko, kto drugim źle czyni, jest Szkaradną Potworą, bo oto ledwo żeś cośkolwiek dobrego dzieciom książęcym uczynił, a już przestajesz być Potworą i Poczciwym człowiekiem być zaczynasz.

Takimi rozmowami skracając sobie czas w podróży, Phil natrafił już na kilka wielkopańskich dworów, na których spoczął i pożywił się, ale stałego miejsca nie znalazł, ponieważ wszystkie były zajęte. U bram jednego dworu przecież spotkał się z wędrownym śpiewakiem *minnesingerem* i widział, że tamtego przyjęto z wielkimi oznakami szacunku i prozono, aby został na dłużej.

— Jeżeli tacy poeci-śpiewacy nietylko w Wartburgu, ale wszędzie są tak pożądani, to muszę i ja przypomnieć sobie moje zaniedbane w tym kierunku talenta, a może więcęj na tym zyskam, gdy moje własne, takie jak chodzenie na rękach i głowie i wypowiedanie dowcipów, nie bardzo mi coś poplącają.

Tak powiedział sobie Phil, wyszedłszy z owego zamku, gdzie pieśniarza wielkimi prośbami zatrzymano i natychmiast zajął się przedzierzgnięciem siebie w poeę, wedle swoich własnych wyobrażeń. Ponieważ nie miał harfy, więc kijem dźwięczał sobie na kawałku żelaztwa do taktu, a że wiedział, iż minnesingerzy wędrowni obierają sobie zawsze jakąś damę na bohaterkę swych pieśni i opiewają jęj cnoty, przeto i on obrał sobie za damę swych myśli i pieśni kulawą na obie nogi Magdę, służę księdza Roberta, słynną na całe Eisenach z gadatliwosci i plotkarstwa, i ułożywszy sobie kilka pieśni o różnych epizodach jęj burzliwego życia, śpiewał je z wielkim zapałem, ku uciesze dworzan w napotykanym dworach. Nie był on tak dalece niemądrym, aby naprawdę porównywał się z owoczesnymi prawdziwymi pieśniarzami, ale chciał zyskiwać wszędzie dobre przyjęcie i to mu się istotnie za pomocą innych talentów udawało, bo śmieszne piosenki o kłótliwęj kobiecie, którą w swych pieśniach swatał ciągle i żenił ze złośliwym kaszłacym Chrypką, rozśmieszały okrutnie gawiedź dworską niższego stanowiska.

Ale mimo to miejsca stałego nie znalazł Phil na żadnym dworze, chociaż podróżował już długo. Wiosna uśmiechała się na świecie, gdy w kącie ustronnego dziedzińca, zasiadłszy po sutej wieczery, śpiewał Phil swoje śmieszne piosenki u stóp olbrzymiego jednego zamczyska. Właśnie śpiewał, a przytęm i własną osobą pokazywał, jak Magda tańcowała z Chrypką na wartburskim zamku, niestworzone rzeczy

wyspiewywał o Chrypcie, mszcząc się w ten sposób na nim za owe sto dukatów, gdy wtém poważny głos jakiś zapytał:

— Czy ty z Wartburga jesteś, człowieku?

Phil stanął jak wryty, i nie tylko on, ale i cała dworska gawieź stanęła tak samo, jak skamieniała z wielkiego uszanowania przed tym, który przechodząc tamtędy zeszedł ją niespodzianie. I było czemu kamienieć z uszanowania, taki majestat mądrości i powagi bił z całej postawy młodego wspaniałego męża, który karła zapytał, i pytanie musiał powtórzyć bardzo łagodnym głosem, zanim zaleknieni jego widokiem ludzie przyszedli do siebie i karzeł odrzekł:

— Tak jest, panie.

— Kiedy opuściłeś Wartburg?

— Na trzeci dzień po wypędzeniu z zamku landgrafowej Elżbiety z dziećmi.

— Pójdź ze mną!

Wspaniały mąż poszedł ku zamkowi po tych słowach, o krok za nim szli inni poważni panowie, on trzymał w ręce wiązkę świeżo zerwanych ziół polnych i pokazując je tym panom, a zwłaszcza jednemu z nich, mówił:

— Każda z tych roślin zawiera w sobie siłę potężną, która stosownie użyta, może wpływy ogromne na ciało ludzkie wywierać; wy, lekarze, dla czegoż tak mało badacie rośliny?

— Dla tego, że my w ogóle wszystko mało badać możemy, bo nauki wspierają się wzajem; aby poznać jedne, trzeba drugą zbadać, a wieleż jest tak potężnych umysłów, jak twój, Najjaśniejszy panie, aby wiedzę ludzką u źródeł badać umiały? kto zrozumieć jest w stanie greckie i arabskie dzieła? — tak odpowiedział zapytany i szli ci panowie dalej, a karzeł i gawieź stali z wytrzeszczonemi oczyma, aż ostatni z idących panów skinieniem wezwał Phila i poszli za owym dostojnym mężem.

Po niedługiej chwili, wprowadzono karła do rycerskiej komnaty, w której ów dostojny mąż siedział w towarzystwie dwóch innych i pytania Philowi zaczął zadawać, dotyczące wypadków zaszłych w Wartburgu i Turynii, a karzeł szczerze odpowiadał, i wypowiedział wszystko, co wiedział, od chwili znalezienia dokumentu, aż do zamknięcia landgrafowej Elżbiety i wykradzenia dzieci. Wtedy powiedział ów mąż:

— Zaprawdę, jakąż to niewiastą jest ta Węgierska Elżbieta, landgrafowa turyngska, której, chcąc ją zgubić, wrogowie nie więćej zarzucić nie mogli, prócz za wielkiej cnoty! — i po chwili dodał ten mąż:

— Tak to myszy tańczują, gdy pana w domu niema.

(d. n.)

## ROZMAITOŚCI.

*Czystość języka.* Młodzi korespondenci nasi często w listkach swoich, przesyłając nam, to łamigłówniki, to odpowiedzi na zadania konkursowe, piszą mylnie i niewłaściwie *poselkami*, *przeselam*, a nawet *poselka*, zamiast, jak być powinno: *posyłam*, *przesyłam*, *posyłka*. Pisownia ta wprawdzie często jest używana, nietylko przez dzieci, lecz i przez starszych, którzy niesłusznie sobie wyobrażają, że skoro się pisze *poseł*, *poselstwo*, to i słowo, pochodzące od tych wyrazów, należy pisać podobnie. A jednak w słowniku Lindego, który dotąd jeszcze najlepsze zawiera wskazówki pod tym względem, nie ma wcale słowa *poselać* tylko *posyłać*, a *poselka* jest wprawdzie, lecz całkiem inne ma znaczenie, bo wyraz ten oznacza posła rodzaju żeńskiego, czyli posłannicę. Jako przykład

przytacza Linde ustęp z Górnickiego, dawnego pisarza: „Kobiety nie mogą być obierane na sejm *poselkami*”. Co innego więc jest *poselka* czyli posłannica, a co innego *posyłka*, przedmiot przesłany z miejsca na miejsce. Nigdzie też u wzorowych pisarzy nie napotkamy pisowni *poselać*, tylko *posyłać*, czemuż więc nie iść za tym przykładem? Radzimy szczerze wszystkim młodym czytelnikom naszym, aby się tój błędnej pisowni wystrzegali.

## HOMONIMY.

Wśród mórz Ameryki stałe mam mieszkanie,  
A choć cię to może zadziwi, mój panie,  
W każdej niemal wiosce, między polskim ludem,  
Napotkać mnie możesz. Nie jestże to cudem?

## Łamigłównka zgłoskowa.

Z następujących zgłosek: cu — czad — dnów — dye — ha — hoń — i — in — le — ma — — o — po — ti — łożyć wyrazy: 1. Miasteczko w gub. wołyńskiej, pamiętne zwycięstwem, odniesionem tam w XVII-tym wieku. 2. Wyspa na oceanie Atlantyckim. 3. Miasto na Szląsku. 4. Jezioro w Afryce. 5. Kraj w Azji. 6. Drzewo zamorskie. Pierwsze i końcowe litery utworzą nazwy dwóch miast, które były widownią świetnych zwycięstw nad Turkami.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 44-go.

### Prozy i poczmy:

O gołąbko moja biała,  
Wykarmiona łzawą rosą,  
Piosnko, gdzieś mi uleciała,  
Gdzie cię lotne skrzydła niosą?

Jam w poranne ciebie lata  
Uganiała stopą drżącą,  
Jak ta pszczoła, co przelata  
Ponad łąką woniejącą.

I w śpionym wód potoku,  
W drżącym świetle gwiazdki bladdej,  
Wszędzie lśniły memu oku  
Promieniste twoje ślady.

I w tój zorzy, co na niebie  
Wróży światu dzionek jasny,  
Jam widziała, piosnko, ciebie,  
Bom cię czuła w duszy własnej.

(Początek poematu „Gołąbka” Seweryny Duchnińskiej).

### Łamigłównki zgłoskowej:

Perkoz — Oda — Sapor — Łado — Uryasz — Schandau — Zakroczym — Ernani — Nimfa — Samopał — Toledo — Waluś — Opeć.

Posłuszeństwo — Zarozumiałość.

**TREŚĆ:** Świsłak tatrzański (z drzew.) — Dzierlatka wiersz p. Wandę Olszowską. — Prawdziwe bogactwo przez autorkę Rejginki (c. d.) — Obrazki z literatury p. Z. Morawską. — Mieszkania jaskiniowe w Hiszpanii (z drzew.) — Landgrafówna Zosia, powieść z czasów rycerskich p. M—a. (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłównki i rozwiązania. W Dodatku: Dobre serce Maryanka (z drzew.) — Feluś i Helenka wierszyk. — Myśląca Helcia. — Dwa grosze p. Helenę Bojarską. — Co Zyś i Janusia robili w Warszawie u Babci, przyjechawszy do niej ze wsi na święta Bożego Narodzenia. — Łamigłównka, rozwiązanie, Skrzynka do listów, i ogłoszenie. Dodatek książkowy: Brat i siostra, z niemieckiego.



## Dobre serce Maryanka.

Malutki Maryanek dostał od Wujaszka na imieniny prześlicznego konia na biegunach, tak dużego, jak on sam; dostał także i biczyk, do popędzania konika. Pyszenie wyglądał nasz Maryanek, gdy jedną rączką prowadził konika swego za uzde-

daleko starszy od niego, ten zaczął sobie żartować z kłopotu malca i zawołał:

— No, uderz go porządnie biczykiem, może zacznie cię znowu huścić.

Ale Maryanek pokręcił główką i powiedział:

— Nie.



Dobre serce Maryanka.

*czek  
witek*

*Michalewicz*

czkę, a w drugiej trzymał biczyk; macie tu właśnie na dzisiejszym rysunku jego portrecik.

A cóż to była za uciecha, gdy Ciocia posadziła chłopczyka na siodełku i poruszyła konika, a ten zaczął się kołysać, to naprzód, to w tył; i Maryanek huścił się także razem z konikiem, zdawało mu się, że on naprawdę konno jedzie. Ale Ciocia usiadła na ławeczce obok Wujaszka i konik po chwili przestał się kołysać. Maryanek wołał na niego: „Wio! wio!” nic to jednak nie pomagało, bo konik drewniany jest nieżywy, nie może się sam poruszyć, póki go ktoś nie popchnie.

A był tam także cioteczny braciszek Maryanka, Ignasz,

— Czemuż nie chcesz konika uderzyć? — pytał Ignasz — na to przecież masz biczyk.

— Nie — powtórzył Maryanek — ja nie chcę bić konika, bo to boli.

— Ach! jakiś ty niemądry — zawołał Ignasz, śmiejąc się do rozpuku — czyż ty nie wiesz, że to konik drewniany, to go przecież boleć nie może, bo on tego nie czuje.

— A! drewniany — rzekł Maryanek, i zamilkł na chwilę, pomyślał, a potem mówił znowu. — A cóż to pomoże bić, jeżeli on nie czuje? to i nie zrozumie, czego ja chcę, i nie zacznie się huścić.

## DWA GROSZE.

— No, zapewne — powiedział Ignas — ale tak dla zabawy go uderz, wiesz już przecież teraz, że go nie zaboli.

— Dla zabawy? — rzekł Maryanek i śliczne, zdziwione oczęta zwrócił na ciotecznego braciszka — fe! taka brzydka zabawa!

A Ciocia nic nie mówiła, tylko słuchała téj rozmowy; te-raz dopiero wstała, pobiegła do Maryanka, i zaczęła go tak ścisnąć i całować, że aż chłopczyk wykrzyknął, wyrwijając się:

— Aj! udusisz mię, Ciociu!

— Muszę cię wyściskać — mówiła Ciocia — za to, że masz takie pocziwe serduszko.

— A cóż ja takiego pocziwego zrobiłem?

Zgadnijcie, dzieci, za co Ciocia tak całowała Maryanka?

## FELUŚ I HELENKA.

Jadł sobie mały Feluś jabłka i pierniczki, Wtém podchodzi Helenka. — Czy też dla siostrzyczki Nic się stąd nie dostanie? — przemawia nieśmiało.

— O! nic, nic, moja droga; ja sam mam dość mało.

I czempredziej przysmaczki do kieszeni chowa.

Zawstydzona dziewczynka nie rzekła ni słowa.

Zdarzyło się jednakże, że zaraz dnia tego

Dostała od Mamusi coś bardzo dobrego:

Spodeczek konfiturek, orzeszków też wiele,

— Felciu! — woła na brata — chodź, to się podzielę, Mam tutaj smaczne rzeczy!

— O! moja jedyna!

Jakażes ty pocziwa! — zawołał chłopczyna.

Ja przed chwilą sam jadłem, nic nie dałem tobie...

— Ha, widzisz, mój braciszku, ja tego nie zrobię,

Bo właśnie zobaczyłam w twoim własnym czynie,

Ze to bardzo nieładnie, kiedy kto jedynie

O sobie tylko myśli; źleś zrobił, kochanie,

Ale dla mnie na przyszłość nauczka zostanie,

Będę lepszą od ciebie, by starsi i mali

Nie mieli do mnie żalu, lecz by mnie kochali!

Zmieszał się biedny Feluś, spuścił oczy łzawe

A uściskałszy siostrę, obiecał poprawę.

*Helena Bojarska.*

## MYŚLĄCA HELCIA.

Helcia lubiła przypatrywać się rozległym łąkom, ogrodom i łanom zboża, siedząc samotnie na wzgórkach, z którego najładniej przedstawiała się okolica.

— Ach, Helciu, jakaż ty leniwa jesteś, że ci się nawet biegać z nami nie chce! — wołały inne dzieci. — O czém ty myślisz, Helciu, siedząc tak w milczeniu?

— Myślę o tém — odpowie dziewczynka — że świat jest prześliczny, i życie na nim powinnyby także być śliczne i wesołe tak, żeby nikt nigdy nie zapłakał.

— A jednak my nieraz płaczemy! czemu? — spytał Kazio.

— Ty, Kaziu, płaczesz zawsze dla tego, że przez swawolę nieposłuszny bywasz rodzicom — rzekła Helcia — ale mnie się zdaje, że ja wiem, dla czego i starsi czasem płaczą...

— No dla czego, dla czego? — pytano.

— A to dla tego, jak myślę, że i oni czasami bywają nieposłuszni... powinności!

— Jednak ta Helcia jest myśląca dziewczynka... — szeptała jedna nauczycielka do drugiej, siedząc na boku.

— Mamuniu, niech mi Mamunia da pieniędzy — prosiła Mania, widząc, że Matka wyjmuje z woreczka pieniądze dla służącej do miasta.

— Ach! moje dziecko, daj mi pokój, nie mam teraz czasu.

— To też jak Mamunia da Katarzynie, to dopiero potem mnie; co, dobrze?

— Dobrze, dobrze, nie przeszkadzaj tylko.

Zaledwie służąca, załatwiwszy się, wyszła z pokoju, Mania znów nudzić poczęła o pieniądze.

— To i mnie może Mamunia da także — odezwała się nic nie mówiąca dotąd Celinka.

— Co wam po pieniądzach, moje dzieci, nic nie potrzebujecie kupować, starsi myślą o waszych potrzebach.

— E, moja Mamunieczko, Mamunia już obiecała...

— No, dobrze już, dobrze, macie więc po parę groszy — i to mówiąc, dała Mama każdej z dziewczynek po dwugroszniaku.

— E, dwa grosze! — zawołała Mania — tak mało, to nie chcę wcale, cóż ja mogę kupić za dwa grosze? za takie pieniądze dziękuję — mówiła nadąsana i położywszy pieniądz na stole, odeszła do drugiego pokoju.

— Nie chcesz, to nie — rzekła Matka i schowała pieniądz do woreczka — a może i Celinka odda mi swoje dwa grosze, jeśli nie jest zadowolona.

— Ja, Mateczko, schowałam pieniądze i dziękuję za nie — odpowiedziała dziewczynka i pocałowała Matkę w rękę.

Tego samego dnia wieczorem bawiły się dziewczynki w ogródku przy domu. Naraz usłyszały jakieś jęki i płacz, to też zaciekawione zbliżyły się do furtki i ujrzały żebraczkę, którą z płaczem błagała o wsparcie, mówiąc, że już od dwóch dni nie w ustach nie miała, i że siły zupełnie ją opuściły. Biedna staruszka musiała się kijem podpierać, aby nie upaść i wydawała bolesne jęki za każdym krokiem.

— Litościwe panienki! — zawołała, ujrawszy dziewczynki — dajcie biednej choć grosik na kawałek chleba, a będę Boga prosić o szczęście i pomyślność dla was.

Celinka wyjęła z kieszeni dwugroszniak i dała go ubogiej, mówiąc:

— Więcej nie mam, moja kobyto, ale i za to choć kawałek chleba możecie sobie kupić.

— O! dzięki ci stokrotne, panieneczko, niech cię błogosławi Bóg i najświętsza Panienka, bądź szczęśliwa, bo widać dobre masz serduszko, skoro nie opuszczasz biednego.

Mania tymczasem stała z daleka, zazdroszcząc pochwał i błogosławieństw, jakimi biedna staruszka obsypywała siostrę.

Gdy nieco później przyszły dziewczynki na herbatę do pokoju, Mania, zbliżywszy się do Matki, pocałowała ją w rękę i prosiła o te dwa grosze, których przedtém wziąć nie chciała.

— Cóż się stało, że prosisz o to, czém niedawno pogardziłaś!

Mania zarumieniła się i nie wiedziała co odpowiedzieć, wreszcie odezwała się nieśmiało:

— Celinka dała pieniądze biednej staruszce, która ją za to tak błogosławiła... a ja nie mogłam uic dać... tak mi było przykro...

— A dla czegoż nie wzięłaś dwóch groszy, gdym ci je dawała?

Myślałam — mówiła, jękając się, Mania — że to tak mało, i że na nic się nie zda.

— A teraz przekonałaś się, że to, co ty odrzucasz, inni przyjeliby z wdzięcznością, nieprawdaż! nieraz nie chcesz jeść bułki, gdy nie jest zupełnie świeża, a jakimże przysmakiem byłaby ona dla głodnego! Dla ciebie mało było dwóch groszy, bo nie wystarczały na kupienie przysmaczków, dla żebraczki było to wiele, bo starczyło na kawałek chleba, o! dziecicę drogie! pamiętaj o tém zawsze, że na świecie tyłu jest

biedaków i że obowiązkiem jest naszym wspierać ich i pomagać im wedle możliwości.

— Mania ze łzami w oczach słuchała słów Matki, z radością wzięła teraz pieniążek i z niecierpliwością oczekiwała, czy nie pojawi się jaki biedak, aby go mogła wesprzeć; gdy w jakiś czas potem dostała znów od Cioci parę złotych na ciasteczka, schowała połowę na datki dla biednych.

*Helena Bojarska.*

## CO ZYŚ I JANUSIA

robili w Warszawie u Babci, przyjechawszy do niéj ze wsi na święta Bożego Narodzenia.

Opowiedział **Michał Krzemień.**

(Dalszy ciąg).

Z bólem serca zatém, ale grzecznie ani wspominając o tém, że i oneby pragnęły książeczki jakiej, dzieci zajęły się oglądaniem książek, obrazków, łamigłówek i różnych cudownych podarunków, pożytecznych i słicznych, które chętnie im i Ciocie pokazywano. Zbiegła tak z godzina czasu i nareszcie trzeba było wracać do Babci z pakunkami, w których niestety nic dla Zysia i Janusia nie było, chociaż niejedna rzecz niezmiernie im się podobała, tak, że się nawet od głośnego chwaleń wstrzymać nie mogli.

Nazajutrz wieczorem przypadła już wigilia. U babci od rana gotowano i smażono i Ciocia wyjść z dziećmi nie miała czasu. Wieczorem przyszli wujowie i wszyscy zasiedli do wieczerzy. Po wieczerzy, gdy otworzono drzwi od bawialni, dzieci z okrzykiem zdumienia zerwały się z miejsca i stanęły, nie wiedząc, co się z niemi dzieje, na widok ogromnej choinki, wystrojonej cudownie i oświetlonej rzesisto, i obwieszonej, i otoczonej tylu książkami i różnymi zabawkami i podarkami, jakby na to choć z połowę warszawskich słicznych bogactw tych zakupiono. Trzeba wiedzieć, że zwyczaj strojenia choinki nie wszędzie jest przyjęty i właśnie Zyś i Janusia wcale go nie znali, jak i wszystkie dzieci z ich stron, a chociaż słyszeli o tém, to przecież nie wyobrażali sobie wcale, jak to słicznie wygląda. To też tém bardziej się teraz zdumieli i długa minęła chwila, nim ochłonawszy ze wzruszenia i podziękowawszy Babci, Cioci i wujom, zaczęli wreszcie szczegółowo rozpatrywać Gwiazdkę.

Najpierw zabrali się do książek i dopiero przekonali się, że było na stole prawie wszystko to, co ich najbardziej zachwyciło u księgarza. I tak było i z innymi rzeczami, z przesłiczną lalką, z historyczną łamigłówką, z biegającą myszką, z ozdobnymi przyborami do pisania i t. d. Aż się zawstydzili dzieci tego, że mogły starszych o zapomnienie posądzać. Radości, oglądaniu i podziękowaniom końca nie było i dopiero wzgląd na zdrowie Babci, która spać iść wcześniej potrzebowała, skłonił dzieci do odejścia do łóżek wieczorem.

Przez całe święta było tyle zajęcia z podarkami gwiazdkowymi, z oglądaniem, czytaniem, dochodzeniem łamigłówek, z loteryjką historyczną, że dzieci ani spostrzegły, gdy święta minęły i wkrótce trzeba było do domu się wybierać. Zapytała więc Ciocia dzieci, co woła, czy siedzieć w domu nad swemi gwiazdkowymi skarbami, czy też zapakowawszy je i zostawiwszy na potem, poznać jeszcze trochę Warszawę?

Babcia obiecała im towarzyszyć, dzieci więc zapakowały skarby troskliwie i pojechały doróżką z Ciocią i z Babcią, przez piękną, szeroką, nowymi domami zabudowaną ulicę, do gabinetu zoologicznego. Co one tam widziały, to już trudno jest opisać, bo trzeba by na to całą napisać dużą książkę, dość powiedzieć, że prawie niema na świecie takiego ptaka, zwierza, owada i t. p. którego by nie widziały w tym gabinecie. Wszystkie to stoi tam jak żywe w szafach, za szkłem, a i bez szaf także. Jakie słonie, jakie lwy, jakie tygrysy straszne!

jakie strusie, jakie orły! to okropność! A jakie ptaszeczki malutkie niektóre! a jakie zwierzątka przesłiczne maleńkie! to aż się chce człowiekowi z tém popieścić i smutno pomyśleć, że to wszystko nieżywe!...

Patrząc na te dziwy, zajmujące choć straszne, dzieci tak otwierały i wytrzeszczały oczy ze zdumienia, że aż Wuj, który się tam z niemi spotkał, zawołał ze śmiechem, że im oczy powyskakują z głowy... Wśród największego podziwu trzeba było nagle wychodzić, bo gabinet ten tylko w niektóre godziny jest wolny do zwiedzania a potem go zamykają. Nie było już czasu tego dnia na nic więcej, tylko powrócono do domu, żeby zjeść obiad i odpocząć. Ale dzieci nawet spać téj nocy nie mogły, bo im się śniło to, co widziały: lwy, tygrysy, lamparty i straszny ptak jeden, sęp!...

— No, dzieci, do widzenia, wróć do was przed zmierzchem! — powiedziała Ciocia Ludka niespodzianie, ubrana do wyjścia, roztwierając jak szeroko drzwi do pokoju, w którym dzieci nad książkami siedziały, zapomniawszy się zupełnie, tak, że aż łokcie na stole poopierały i każde oburącz za głowę się trzymało, zatonawszy w książce zupełnie. Ale na żwawy głos ciotki wyskoczyli oboje na środek pokoju, jakby z procy wyrzuceni, wołając:

— Co, co! cóż to znowu! Ciocia wychodzi? a my; cóż to za nowa moda?

— Ciocia chce iść bez nas? a to co znowu. A gdzie? a my?

— A wy co sobie myślicie? czy to mnie nie wolno bez was wychodzić? czy wam tak jak Babci opowiadać się z czynności moich powinnam? Cóż to za nowa moda, żeby dzieci tak się względem Ciotki zachowywały?

Na te słowa Cioci Zyś i Janusia spojrzeli boczkiem na siebie i zawstydzili się ogromnie, zrozumawszy, że się niegrzecznie przez zapomnienie znaleźli:

— Ale bo... bo Ciocia taka jest dobra, że zawsze nas z sobą bierze... — szepnął Zyś.

— Więc myśmy się też popsuli i uważamy to już teraz za powinność... — mruknęła Janusia.

— No, kiedyście się popsuli, to się postarajcie poprawić, a tymczasem możecie się ze mną w drogę wybierać! — powiedziała Ciocia, z trudnością zachowując surową minę, bo jęj się bardzo z zakłopotanych dzieci śmiać chciało, ale one znów po swojemu boczkiem na nią spojrzawszy, zaraz to poznały i z okrzykiem radości skoczyły ku niéj, ściskając ją serdecznie i wołając jedno przez drugie:

— Ej, Cioci figle się tylko trzymają, a myśmy się już tak pomartwili!

— O! ciocia tylko żartuje, a my myśleliśmy, że się na prawdę na nas gniewa!

— Ale czy myślicie, że nie miałabym przyczyny do pogniwiania się na was?

— No... to prawda, że my niegrzecznie napadliśmy niby na Ciocię, jakby to jęj powinność była nas wodzić i bawić...

— Ale bo my to rozumiemy przecież, tylko jak człowiek w tych książkach się czasem zaczyta, to się zapomni zupełnie!

— A zatém, jeżeli rozumiecie i uznajecie winę, to pamiętajcie na inny raz, że żadne zapomnienie od grzeczności nie uwalnia i... ubierajcie się!

W dziesięć minut po téj rozmowie Ciocia Ludka szła już Świętojańską ulicą, trzymając dzieci za ręce, wszystko troje ciepło w futerka odziani, bo zapowiedziała, że pojedą daleko? Podskakując lekko, o ile przyzwyczajenie na ulicy pozwalala skakać, dzieci zgadywały gdzie pojedą? a Ciocia na wszystkie domysły odpowiadała „nie” i „nie”. Aż spostrzegłszy z daleka doróżkę, Zyś podniósł rękę z laseczką, aby kiwnąć na woźnicę i już miał zawołać na niego.

— Cicho! nie wołaj! — powiedziała Ciocia.

— Wszak mieliśmy jechać?

— I mamy jechać.

— To jakże pojedziemy, kiedy ciocia doróżki zawołać nie może?

— Ach, jaką ten Zys ma tępą głowę! on myśli, że tylko dorożkami w Warszawie się jeździ! — rzekła Janusia, wzruszając ramionami.

— A jakże inaczej, kiedy tu swego powozu nie mamy?

— A konno!... wsiądź na łuszczkę, tak jakieś niedawno jeszcze na wszystkich kijach w domu jeździł, i wio!... po Warszawie! — śmiała się Janusia.

— To może w Warszawie dla panien jest taka moda, bo co dla chłopców to nie! — odciął się Zys. Oboje śmieli się tak rozmawiając i Ciocia śmiała się też, idąc ciągle, aż wtém wyszedłszy już ze Świętojańskiej ulicy, stanęła obok kilku innych, stojących tak samo osób i stoi.

— Ciociu, po co my tu tak stoimy? długo tak stać będziemy? i tamci państwo też?... — pytały z cicha dzieci zdziwione.

— A co to jest, czy to latarnia? nie, to coś innego? — pytały znowu, wskazując jakiś słup z jakimś napisem u wierzchu, tuż przy nich stojący. Wtém zaszumiło, zadzwoniło i długi powóz z licznymi ławkami wewnątrz, ale o jednym tylko koniu, nadjechał i stanął przed nimi.

— Tramway! pojedziemy tramwayem, to tu jest przystanek tramwayowy! — zawołały dzieci radośnie, ale na znaczące Cioci spojrzenie umilkły zaraz, zrozumiałwszy, że okrzyki takie nie przystoją na ulicy. Wszyscy czekający wsiedli do tramwayu i pojechali. Jechali najprzód szeroką ulicą, zwaną Krakowskie-Przedmieście, między dwoma rzędami wielkich kamienic, które na dole miały wszędzie sklepy, cukiernie i t. p. a w nich różne, prześliczne rzeczy, za ogromnymi szybami ułożone, błyszczwały i mieniły się od słońca aż blask bił w oczy i dzieci je mrużyć musiały. Jechano tak koło kościoła Bernardynów, który ufundowała przed czterystu laty księżna Anna Mazowiecka. Dużo tam jest grobów dawnych senatorów i starostów polskich, a gdy ten kościół Szwedzi potem zrabowali i zniszczyli podczas wojny, to król polski Jan Kazimierz i podskarbi Koniecpolski znowu go do dawniej świetności przywrócili. Malowania kościelne tam są Żebrowskiego zakonnika, a obrazy pędzla Gładysza i innych.

(d. c. n.)

## SZARADA (Aleksander K.)

*Pierwsze* wykrzyknikiem zwiemy,  
*Drugie trzecie*, jako rybę, jemy;  
*Z wszystkiego* imię wypadnie,  
A teraz pytam: kto zgadnie?

## ROZWIĄZANIE DO N-ru -40go.

Homonimów:

Kożuszek.

## Skrzynka do listów.

Córa Mazurów nadesłała dobrą łamigłówkę, która będzie niezadługo wydrukowana. Dziękujemy za wiadomość o imieniu prawdziwém. Przyjemnie nam bowiem poznać bliżej, choćby z imienia, stałe korespondentki.

Kalince tём bardziej wdzięczni jesteśmy za miły liścik, że przy tylu a tak ważnych zajęciach mało zapewne ma na to czasu. Kazio serdecznie żałuje, że musi się pożegnać z wypracowaniami Kalinki, które zawsze do najlepszych należały, ale rozumie on dobrze, co znaczy obowiązek i nie myśli nikogo do zaniebdywania go nawiązać.

Jaskółce z nad Bugu dziękujemy za liścik starannie napisany i za łamigłówkę, bardzo dowcipnie i poprawnie ułożoną, którą wydrukujemy niezadługo. Ale czyj to jest wierszyk? prosimy o wiadomość. Układając łamigłówki z poezyj, zawsze dodać trzeba nazwisko autora.

Niezapominajka z Prusieka może być pewną, że redakcja niczych liścików nie wysmiewa, nigdy się to jeszcze nie zdarzyło. Gdyby się znalazła jaka rażąca omyłka, tobyśmy ją wskazali, lecz bez wysmiewania, bo omyłki trafiają się każdemu, nietylko młodzieży, a wskazanie ich, jeśli są popełniane przez niewiedomość jest dowodem życzliwości. Kazio pyszni się ogromnie nazwą filozofa, która mu się dostała, nie bardzo co prawda słusznie. Łamigłówkę, ofiarowaną serdecznej przyjaźni naszemu redakcyi, umieścimy niezadługo.

Motylek z nad Sekwany nadesłał trafne rozwiązanie łamigłówek, dziękujemy bardzo, że przy zajęciach szkolnych o nas nie zapomniał. Trochę nam żal było w pierwszej chwili wesołego Motylka, któremu skrzydełka podcięto i do nauki zapakowano; ale praca nie jest nieszczęściem, zresztą teraz tak zimno, że motylkom fruwać trudno po błoniach, lepiej więc naśladować pracowniczek.

Pegaz skrzydlaty zapytuje, dla czego wierszyk jego niestosowny jest do druku. Trudno to bardzo objaśnić dokładnie a w krótkich słowach, jaką powinna być poezya, aby na tę nazwę zasługiwała. Do pisania pięknych wierszy trzeba mieć talent wrodzony, ale ażeby poznać się na tём, że wiersz nie jest piękny, należy tylko posiadać smak wykształcony. Jedynym do tego sposobem jest zapoznanie się z prawdziwie pięknymi utworami naszych znakomych poetów. Niech tylko Pegaz pilnie się czytuje w takie poezye, a nie będzie potrzebował pytać, dla czego jego wierszyk na druk nie zasługuje. Co do tłómaczonych powiastek i komedyyek, dziękujemy za nie, mamy dość oryginalnych, tłómaczeń mało zamieszczamy. Rozwiązanie prozy i poezyi trafne. Co porabia Orzeł tatrzański, nie wiemy. Pewno siedzi pośród niebotycznych tarni i z góry spogląda na świat Boży.

Elektryczność bardzo niepospolity pseudonym sobie wybrała, szkoda, że nie dodała prawdziwego nazwiska. Pierwszy krok jest zawsze najtrudniejszy, jeżeli Elektryczność dopiero po trzech latach czytania „Wieczorów” zebrała się na napisanie liściku, to nie dowodzi wcale, aby nie miała teraz pisywać częściej. Łamigłówka dobrze jest ułożona, będzie wydrukowana.

Stałej prenumeratorki w Kaliszu dziękujemy za życzliwą uwagę, spóźnioną nieco, gdyż wytłómaczyliśmy się już z owęj pomyłki, co do drzeworytu. Była to nieuwaga, która jednak, o ile sądzimy, żadnych szkodliwych skutków pociągnąć za sobą nie mogła. Co do drugiego drzeworytu, nie było nawet pomyłki, nie rozumiemy więc, o co idzie. Odbicie mogło być trochę niewyraźne, nie więcj.

## Kronika Rodzinna.

Pod tymże samym adresem i po tejże cenie co *Wieczory* pismo dla rodzin, poświęcone literaturze, naukom i sprawom społecznym, które oprócz odpowiednich do tego założenia artykułów, zamieszcza niewydane dotąd pamiętniki i korespondencye znakomych ludzi, oryginalne podróże, powieści, komedye do przedstawienia w teatrach amatorskich, wiadomości polityczne i sprawy bieżące. Prenumeratorki Kroniki otrzymać mogą po cenie niższej różne wartościowe dzieła i oleodruki wykonane starannie w zakładach zagranicznych i krajowych, od roku zaś przyszedłszy 1886 otrzymywać będą w dodatku bezpłatnym wydawane nakładem redakcyi ciekawe PAMIĘTNIKI MARYI WESSLÓWNY KRÓLEWICZOWEJ KONSTANTOWEJ SOBIE-SKIEJ, spisane ze wspomnień i archiwów jęj rodziny.